

O JANUSZU MARCISZEWSKIM

Był już stary, kiedy ja raczkowałem w zawodzie. Ale tu nie chodziło o wiek, czy formę, bo nawet, jako 70-latek przebijał moich równolatków. „Janiu” był stary swoimi doświadczeniami, przeżyciami. Rany, co ja piszę. Jaki stary?

Moje pokolenie, ja sam, na jego tle przypominamy filmowych zgryźliwych tetryków. Jęczymy, bo zupa była za słona, że deszcz pada, że nie pada, że wypłata, że kredyt, że studia, że autobus, że tramwaj, że buty nowe, że buty stare, że tamto i owamto. A Janiu? Cytując znajomego: Kiedyś wspominał mi, że jego córka (może siostrzenica... w każdym razie ktoś z bliskiej rodziny) na coś tam narzekała. "No mówię ci, stęka, kwęka, tu ją boli, tam ją boli... Dopiero 50 lat ma!"

Janusz Marciszewski. Człowiek legenda. I jak to w przypadku ludzi legend bywa: nie piszesz za życia, bo by cię pogonili drągiem, bo nie wypada, bo w końcu zacniejsi o tak zacnych pisać powinni. Tak samo my, dziennikarze, nie zwykliśmy pisać o ludziach nam najbliższych. Jak tu pisać o rodzicach? Już nie mówiąc, że to byłoby pisanie najbardziej osobiste z osobistych, ale książki by nie starczyło! A przecież same najlepsze myśli. Piszemy, więc o ludziach z zawodowego życia.

Ale dziś będzie o Janiu. Szkoda papieru na inny "temat". A Janiu drągiem nie walnie, bo w lepszym świecie dołączył do swojego przyjaciela, Zdzicha Beryta, z którym przez lata tworzyli duet może i zgryźliwych, ale, z jakim humorem, tetryków. Teraz pewnie sobie żarty opowiadają. Albo anegdoty, w końcu nikt nie wymyśliłby takich historii, jakie ci dwaj przeżyli. Choć czym się mogli różnić, to się różnili.

Złośliwość dowcipów mieli zbliżoną. Kiedy Janiu, weteran bitwy pod Monte Cassino i Zdzichu, były więzień obozu koncentracyjnego, nieopatrznie zeszli na wojenne tematy zaczynało się.. - Zdzichu, a te numery to sobie spod pachy przeszczepiłeś? (Tudzież: gdzie ci je przebili) - pytał Janiu. A Zdzichu, niezrażony, pytał o waleczność Jania na Monte Cassino: Walczyłeś, walczyłeś, ale jak mówiłeś? Po której stronie?

Obydwaj zgodnie twierdzili, że mają najmłodsze laski spośród wszystkich męskich redakcyjnych osobników. Świeżo strugane. Tylko technologicznie byli rozbieżni. Podczas gdy Zdzich pytany przez telefon, czy otrzymał e-mail, odpowiadał: a wie pani, u nas to z tych biurków wszystko ginie (w końcu e-mail czy faks - jaka to różnica), Janiu, który wówczas archiwizował elektronicznie wydania "Gazety Poznańskiej", zaskakiwał o pół wieku młodszego kolegę pytaniem: *Wiesz Mateusz, kupiłem fajną drukarkę, ale za cholere nie mogę znaleźć do niej sterowników. Nie wiesz, gdzie na Internecie mogę znaleźć sterowniki do Canona model jakiś tam.* No i znalazł te sterowniki. A jak!

Dziennikarz, który skończył prawo. Wcześniej przymusowy robotnik w czasie wojny, uciekinier, żołnierz, górnik. Ale przez większość życia: dziennikarz. Tylko jak się wtedy pisało! Opowieści Jania z "Pitawala poznańskiego" do dziś zna każdy dziennikarz zajmujący się kryminalnym miastem. Ale w *janiowych* opowieściach, to nawet morderstwa z tych dawnych czasów były ciekawsze. W notce policyjnej to było, że konkubent W. zabił szwagra H. i tyle. A u Jania to czysty kryminał z pierwszej ręki prawie. Siadałeś człowieku, obok, kiedy on wchodził w tryb opowieści i bach: aniś się obejrzał, a godzina minęła. A tu następna opowieść płynie. I następna. I następna... Teraz już takich ludzi nie robią.

Ot, i wychodzi, że na Jania miejsca nie starczy. Książki by trzeba, ale sam ją już napisał: "Warto było to przeżyć". Dobry tytuł.

Janiu, świeć Ci Panie Boże przy pisaniu tam do góry.

Leszek Waligóra (Głos Wielkopolski)